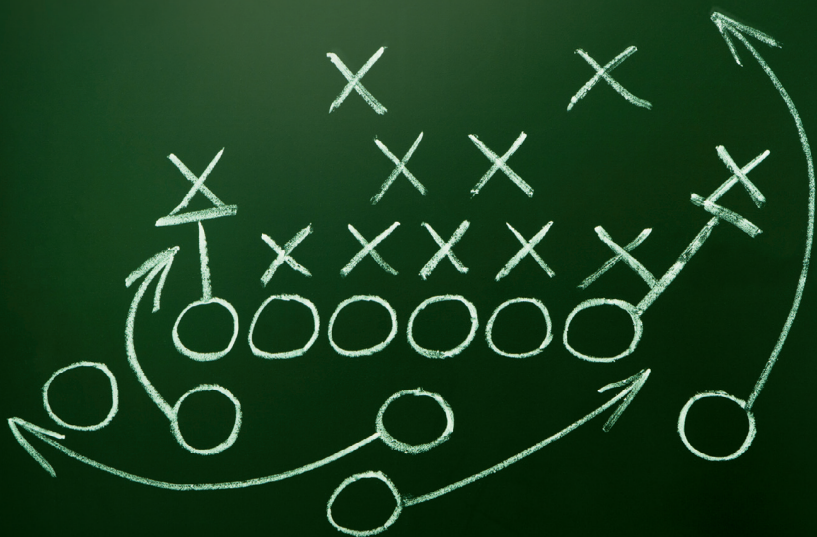


JOHN GRISHAM

CHŁOPCY
EDDIEGO



Wtorek

Droga na Stadion Rake'a biegła obok szkoły, mijała starą aulę i korty tenisowe, przechodziła pomiędzy dwoma rzędami czerwonych i żółtych klonów, posadzonych przez zagorzałych kibiców drużyny, wspinała się na niewielkie wzniesienie i schodziła w dół na wyasfaltowany parking na tysiąc samochodów, przed masywną bramą z kutego żelaza. Brama zamykała dostęp na teren stadionu, który w całości był ogrodzony stalową siatką. W piątkowe popołudnia cała Messina czekała na otwarcie bramy, po czym tłum mieszkańców wlewał się do środka, rozsiadał na odkrytych trybunach zwanych Patelniami, ponieważ lejący się z nieba żar rozgrzewał je do czerwoności, i zaczynało się nerwowe oczekiwanie na rozpoczęcie meczu. Wyasfaltowany teren wokół stadionu wypełniał się na długo przed pierwszym wykopem piłki i przybywający na mecz spoza miasta musieli szukać sobie miejsca na otaczających stadion polnych drogach i trawiastych alejkach, a także na odleglejszych parkingach znajdujących

się za szkolną stołówką i boiskiem do baseballu. Kibiców drużyny przeciwnej Messina nie traktowała zbyt przyjaźnie, ale trudności z zaparkowaniem były i tak niczym w porównaniu z tym, co czekało samych zawodników.

Neely Crenshaw jechał wolno drogą w stronę stadionu. Wolno, bo nie był tu od wielu lat i jak można się było spodziewać, widok masztów ze stadionowymi reflektorami wywołał w nim gwałtowną falę wspomnień. Wjechał pomiędzy klony w jesiennej, czerwonej i żółtej, szacie. Już za czasów jego sportowej chwały drzewa miały pnie trzydziestocentymetrowej grubości, a dziś ich gałęzie tworzyły splecione sklepienie nad głową, liście sypały się jak kolorowe płatki śniegu, wyścielając drogę do stadionu.

Było późne październikowe popołudnie i od północy wiał lekki zimny wietrzyk.

Neely zatrzymał samochód przed bramą i popatrzył na stadion. Wszystko wokół nagle zwolniło, myśli zrobiły się ciężkie od dźwięków i obrazów z przeszłości. W jego czasach stadion nie miał nazwy, ale nie była ona potrzebna. Każdy mieszkaniec Messiny nazywał to miejsce po prostu boiskiem. „Chłopcy wcześniej dziś wybiegli na boisko”, mówiono w kafejce przy rynku. „O której sprzątamy dziś boisko?”, pytano w Klubie Rotariańskim. „Rake mówi, że na boisku potrzebna jest nowa trybuna dla gości”, ogłaszano na zebraniu sponsorów. „Rake da im dziś popalić na boisku”, zapowiadano przy piwie w knajpkach pod miastem.

O żadnym innym miejscu w Messinie nie wyrażano się z takim szacunkiem, jak o boisku. Nawet o miejskim cmentarzu.

Gdy Rake'a zwolniono z funkcji, boisko nazwano jego imieniem, dla upamiętnienia zasług, ale Neely'ego dawno już tu wtedy nie było. Nie tylko stąd wyjechał, ale także nie zamierzał tu wracać.

Powód, dla którego teraz wrócił, nie był do końca jasny, choć w głębi duszy czuł, że kiedyś do tego dojdzie. Że przyjdzie taki dzień, gdy wezwą go do powrotu. Wiedział, że któregoś dnia Rake umrze i na jego pogrzeb zjadą się setki dawnych zawodników. Otoczą trumnę i ubrani w klubową zieleń będą stali pogrążeni w żalu po odejściu legendy, którą kochali i nienawidzili. Ale wielokrotnie sobie przyrzekał, że nigdy nie wróci tu za życia Rake'a.

W głębi za trybuną dla gości znajdowały się dwa boiska treningowe – jedno ze sztucznym oświetleniem, drugie bez. Żadna szkoła w całym stanie nie mogła się pochwalić takimi luksusami, ale też nigdzie nie hołubiono tak szkolnego futbolu, jak w Messinie. Neely wciąż miał w uszach gwizdki trenera i głuchy łoskot zderzających się ciał na treningu Spartan przed piątkowym meczem. Przeszedł przez pomalowaną na obowiązkowy ciemnozielony kolor bramę i wszedł na stadion.

Trawnik w strefie końcowej boiska był zadbany i gotowy do gry i tylko w okolicach bramki sterczało trochę niesfornych źdźbeł, a w jednym z narożników widniało kilka plam chwastów. To kazało mu lepiej przyjrzeć się

murawie i wtedy dojrzał też kilka nierówno skoszonych fragmentów wzdłuż krawędzi bieżni. W czasach chwały w każdy czwartek po południu przychodziło tu kilkunastu ochotników, którzy ogrodowymi nożycami przystrzygali każde wystające źdźbło trawy i przeczesywali grabkami całe boisko.

Jednak czasy chwały minęły, odchodząc wraz z Rakiem. Teraz w drużynie Spartan Messina grali zwykli śmiertelnicy i miasto już tak się nią nie przejmowało.

Trener Rake zwymyślał kiedyś głośno elegancko ubranego mężczyznę za to, że śmiał wejść na świętą murawę z trawy bermudzkiej, którą porośnięte było boisko. Mężczyzna szybko się wycofał, obszedł boisko, i dopiero gdy podszedł bliżej, Rake zdał sobie sprawę, że nawrzeszczał na burmistrza Messyny. Burmistrz poczuł się urażony, ale Rake zupełnie się tym nie przejął. Nikt nie miał prawa chodzić po jego boisku. Burmistrz, który nie przywykł do tego, by na niego krzyczano, podjął próbę pozbycia się Rake'a, jednak nic nie wskórał, ponieważ radni stosunkiem czterech głosów do jednego odrzucili wniosek o zwolnienie trenera.

W tamtych czasach Eddie Rake miał w Messinie silniejszą pozycję niż wszyscy pozostali politycy razem wzięci i nie musiał się z nikim liczyć.

Neely ruszył wzdłuż bocznej linii, wolno podszedł do trybuny dla kibiców gospodarzy i stanął, czując na plecach przedmeczowe ciarki. Przypomniał mu się dawno niesłyszany ryk tłumu na Patelni, zagłuszający dźwięki

orkiestry grającej bez końca bojową pieśń Spartan, a przy linii bocznej zamajaczył mu zawodnik z numerem 19, przeprowadzający przy akompaniamencie wiwatów publiczności nerwową rozgrzewkę. Z numerem 19 grał krajowy reprezentant liceów, wysoko ceniony rozgrywający o celnym podaniu, szybkich nogach i potężnej masie ciała, chyba najwybitniejszy futbolista wywodzący się z Messiny.

Kiedyś, w innym życiu, numer 19 należał do niego, Neely'ego Crenshaw.

Szedł dalej wzdłuż linii bocznej i zatrzymał się w połowie boiska, skąd Rake dowodził setkami meczów, i znów przejechał wzrokiem po pustej Patelni, na której w piątkowe wieczory zasiadało kiedyś dziesięć tysięcy kibiców, by dopingować ukochaną drużynę futbolową z miejscowego liceum.

Słyszał, że podobno teraz frekwencja jest o połowę mniejsza.

Od czasów olśniewających sukcesów numeru 19 minęło piętnaście lat. Piętnaście lat od chwili, gdy Neely po raz ostatni wybiegł na świętą murawę boiska. Ileż to razy sobie obiecywał, że nigdy nie zrobi tego, co właśnie robi? Ile razy przysięgał w duchu, że nigdy tu nie wróci?

Z boiska treningowego dobiegł dźwięk trenerskiego gwizdka i czyjs krzyk, ale Neely prawie tego nie słyszał. Jego uszy wypełniało bicie werbli w orkiestrze, płynący z głośników chropowaty, niezapomniany głos pana Bo Michaela i ogłuszający łomot tysięcy nóg podskakujących

na Patelni.

A także wrzaski Rake'a, który rzadko tracił opanowanie w ogniu walki na boisku.

Do ogólnej wrzawy dołączały skandujące i podskakujące cheerleaderki w króciutkich spódniczkach i rajstopach na zgrabnych opalonych nogach. Neely mógł wśród nich przebierać.

Jego rodzice siadywali na wysokości linii czterdziestego jarda, osiem rzędów poniżej łoży prasowej. Zawsze przed rozpoczęciem meczu miał zwyczaj machać do matki, która i tak większość czasu spędzała, modląc się w duchu, przekonana, że jej syn za chwilę skręci kark.

Łowcy talentów z drużyn uniwersyteckich dostawali bilety do wydzielonego sektora trybun na linii pięćdziesięciu jardów, najlepszego punktu obserwacyjnego. Ktoś doliczył się kiedyś trzydziestu ośmiu łowców, z których wszyscy reprezentowali Garnet Central i wszyscy mieli oko na zawodnika numer 19. Na adres Neely'ego przyszły listy z ponad setki college'ów; jego ojciec wciąż je trzymał w domowym archiwum. Trzydzieści jeden uczelni zaoferowało mu pełne stypendia. Gdy Neely ostatecznie zdecydował się na Tech, władze uczelni zwołały konferencję prasową, a w gazetach ukazały się wielkie nagłówki.

Dziesięć tysięcy miejsc siedzących na trybunach w miasteczku z ośmioma tysiącami mieszkańców. Matematycznie bez sensu. Ale na mecze kibice zjeżdżali się z całej okolicy – z zapadłych dziur, gdzie w piątkowe

wieczory nie było co robić. Dostawali tygodniówkę, kupowali zapas piwa, przyjeżdżali do miasta na boisko i tłoczyli się w jednym sektorze na północnym krańcu trybuny, robiąc więcej hałasu niż uczniowie, orkiestra i miejscowi razem wzięci.

W czasach, gdy Neely był chłopcem, jego ojciec trzymał go z dala od północnego sektora trybun. Siedzący tam „prostacy” pili alkohol, wszczynali burdy i nie przebierali w słowach pod adresem oficjeli. Niedługo potem zawodnik numer 19 pokochał wrzaski tych „prostaków”, a oni niewątpliwie pokochali jego.

Ale teraz Patelnia zamarła w milczącym oczekiwaniu. Poszedł dalej wzdłuż bocznej linii, trzymając ręce wetknięte głęboko w kieszenie. Zapomniany idol, którego gwiazda zgasła tak szybko. Rozgrywający Spartan Messina przez trzy kolejne sezony. Na koncie ponad sto podań zakończonych przyłożeniem i ani jednej porażki na własnym boisku. Mecze wracały do niego we wspomnieniach, choć starał się przed tym bronić. Tamte czasy minęły, powtórzył w duchu po raz setny. Minęły dawno temu.

W południowym sektorze trybun sponsorzy ustawili wielką tablicę wyników, a wokół niej białe plansze, na których na zielono przedstawiono historię futbolu w Messinie, a tym samym historię całego miasta. Po sezonach w latach 1960 i 1961, kiedy to pod wodzą niespełna trzydziestoletniego Rake’a drużyna nie doznała ani jednej porażki, w roku 1964 Spartanie rozpoczęli wielkie pasmo

zwycięstw, ciągnące się do końca dekady. Miesiąc po przyjeździe na świat Neely'ego w 1970 roku, Messina przegrała z South Wayne w meczu o mistrzostwo stanu i dobra passa się skończyła. Do tej porażki drużyna zanotowała osiemdziesiąt cztery zwycięstwa z rzędu – wówczas rekord kraju – a Eddie Rake w wieku trzydziestu dziewięciu lat stał się legendą.

Ojciec opowiadał Neely'emu o żałobie, jaka po nieszczęsnej przegranej ogarnęła całe miasto. Jakby osiemdziesiąt cztery kolejne zwycięstwa nic nie znaczyły. Nadeszła zła zima, ale Messina jakoś ją przeżyła. W następnym sezonie chłopcy Rake'a roznieśli South Wayne 13:0 w meczu o mistrzostwo stanu, po czym w latach 1974, '75 i '79 drużyna zdobyła kolejne tytuły mistrzowskie.

A potem nastąpiła susza. W latach 1980–1987, gdy Neely był w klasie maturalnej, Messina kroczyła od zwycięstwa do zwycięstwa w rozgrywkach strefowych i play-offach, by regularnie przegrywać finały o mistrzostwo stanu. Miasto ogarnęło przygnębienie. Bywalcy miejskich kafejek siedzieli osowiali, z nostalgią wspominając czasy wielkiego pasma zwycięstw. W dodatku jedna ze szkół w Kalifornii zanotowała dziewięćdziesiąt zwycięstw z rzędu i mieszkańcy Messiny odczuli to jako osobisty afront.

W lewo od tablicy wyników ciągnął się rząd zielonych plansz, na których białymi literami wypisano nazwiska najśłynniejszych zawodników w historii drużyny. Siedem numerów zawodniczych wycofano z użytku, w tym, jako

ostatni, numer 19 – Neely’ego. Obok wisiała plansza z numerem 56 Jessego Trappa, linebackera, który po szkole grał krótko w Miami, po czym trafił do więzienia. W roku 1974 Rake wycofał numer 81 Romana Armsteada, jedyne go zawodnika Spartan, który później grał w NFL*.

Za południowym krańcem trybun znajdował się domek klubowy, który wielkością i wyposażeniem mógł budzić zazdrość wielu college’ów. Mieściły się w nim siłownia i szatnie dla zawodników, w części dla drużyny gości pokryte wykładziną dywanową, oraz prysznice. Budowę domku sfinansowali miejscowi sponsorzy, zmobilizowani do zrzutki przez trwającą całą zimę nachalną kampanię. Zresztą nikt na drużynę Spartan Messina nie żałował grosza. Trener Rake zażyczył sobie siłowni, szatni i gabinetów trenerskich, więc sponsorzy praktycznie zapomnieli o Bożym Narodzeniu.

Neely dojrzał też coś nowego, czego wcześniej tu nie było. Tuż za furtką prowadzącą do domku klubowego stał ceglany postument, a na nim popiersie z brązu. Z bliska dało się rozpoznać, że wyobraża ono Rake’a. Nadnaturalnej wielkości głowa ze zmarszczonym czołem, dobrze Neely’emu znanym ściągnięciem twarzy wokół oczu i cieniem uśmiechu na ustach. Na głowie miał tę samą podniszczoną czapeczkę, z którą od lat się nie rozstawał. Brązowe popiersie Eddiego Rake’a w sile wieku, nie

* NFL (*National Football League*) – Krajowa Liga Futbolu (amerykańskiego).

siedemdziesięcioletniego starszego mężczyzny, jakim był obecnie. Na postumencie umieszczono tabliczkę ze spisem trenerskich osiągnięć Rake'a, które niemal każdy mieszkaniec Messyny potrafił wyrecytować z pamięci – trzydzieści cztery lata na stanowisku trenera Spartan, czterysta osiemnaście zwycięstw, sześćdziesiąt dwie porażki, trzynaście tytułów mistrza stanu, trwające od 1964 do 1970 roku nieprzerwane pasmo osiemdziesięciu czterech zwycięstw.

Był to ołtarzyk i Neely wyobraził sobie, jak przechodzący tędy w piątkowe wieczory zawodnicy Spartan nabożnie skłaniają głowy.

Podmuchy wiatru podrywały i niosły tumany zeschłych liści. Trening na bocznym boisku dobiegł końca i Neely ujrzał zbliżającą się gromadę umorusanych i spoconych graczy. Woląc uniknąć spotkania, wyszedł i ruszył bieżnią z powrotem w stronę bramy. Wspiął się po schodkach do trzydziestego rzędu siedzeń i usiadł na Patelni wysoko nad płytą Stadionu Rake'a, skąd roztaczał się widok na całą dolinę. W oddali widać było iglice wież kościelnych sterczące ponad złotobrązowymi wierzchołkami drzew, którymi obrosnięte były ulice. Iglica po lewej należała do kościoła metodystów, kawałek dalej stała niewidoczna stąd elegancka piętrowa willa, którą miasto sprezentowało Eddiemu Rake'owi na pięćdziesiąte urodziny.

I to właśnie w niej pani Lila, ich trzy córki oraz reszta rodziny Rake'ów czekali teraz, aż trener wyda ostatnie technienie. Niewątpliwie w domu było też wielu przyjaciół

i mnóstwo tac ze stertami jedzenia, a wszędzie stały wazony z kwiatami.

Ciekawe, czy w tłumie gości byli też jacyś dawni zawodnicy? Neely szczerze w to wątpił.



Na parking przed bramą wjechał samochód i zaparkował obok auta Neely’ego. Jego kierowcą był także dawny zawodnik Spartan, ale w odróżnieniu od Neely’ego miał na sobie marynarkę i koszulę z krawatem. Ruszył wolno bieżnią, jak Neely uważając, by nie postawić stopy na murawie boiska. Dostrzegł kolegę na Patelni i dołączył do niego.

- Długo już tu siedzisz? – zapytał, ściskając mu dłoń.
- Niedługo – odrzekł Neely. – Już umarł?
- Nie, jeszcze nie.

Paul Curry odebrał czterdzieści siedem z sześćdziesięciu trzech podań na przyłożenia, jakie Neely wykonał w ciągu trzech lat ich wspólnej kariery na boisku. Podanie Crenshawa do Curry’ego należało do standardowych zagrań i było praktycznie nie do obrony. Obaj byli kapitanami drużyny* i bliskimi przyjaciółmi, których drogi z biegiem lat się rozeszły, jednak nadal kilka razy w roku do siebie dzwonili. Dziadek Paula założył pierwszy bank w Messinie, przez co przyszłość chłopca była przesądzona już w chwili narodzin. Ożenił się z dziewczyną

* Każda drużyna przed rozpoczęciem meczu wysyła do sędziego czterech kapitanów.

z innej szacownej miejscowej rodziny i poprosił Neely'go, żeby był jego drużbą. Przyjazd na wesele Paula był dla Neely'go ostatnią do dziś wizytą w Messinie.

- Jak rodzina? – zapytał.
- W porządku. Mona jest w ciąży.
- No pewnie, że jest w ciąży. Piątej czy szóstej?
- Dopiero czwartej.

Neely pokręcił głową. Siedzieli metr od siebie, obaj zapatrzeni w dal. Rozmawiali, ale myślami byli gdzie indziej. Od strony domku klubowego dobiegł szum uruchamianych silników i z parkingu zaczęły wyjeżdżać samochody.

- A jak drużyna? – spytał Neely.
- Nieźle. Cztery mecze wygrane, dwa przegrane. Trenerem jest jakiś młody koleś z Missouri. Podoba mi się, tylko brakuje mu młodych talentów.

- Z Missouri?
- Mhm. W promieniu tysiąca kilometrów nie znaleźli nikogo, kto by reflektował na tę pracę.

Neely obrzucił go spojrzeniem.

- Trochę utyłeś – mruknął.
- Jestem bankierem i rotarianinem, ale na bieżni i tak nie masz ze mną szans – powiedział i od razu pożałował swych słów. Lewe kolano Neely'ego było dwa razy grubsze od prawego.

- Bez wątplenia – odrzekł z uśmiechem Neely. Nie wyglądał na urażonego.

W milczeniu przyglądali się ostatnim odjeżdżającym

autom. Większość ruszała z piskiem opon, a przynajmniej się starała. Ot, taka drobna tradycja Spartan.

Na stadionie znów zapadła cisza.

– Przychodzisz tu czasami, jak nie ma nikogo? – spytał Neely.

– Kiedyś tak robiłem.

– Chodzisz wokół boiska i wspominasz dawne czasy?

– Wspominałem, ale mi przeszło. Jak wszystkim.

– Dla mnie to pierwszy raz od wycofania mojego numeru.

– Tobie jeszcze nie przeszło. Wciąż żyjesz wspomnieniami, wciąż marzysz. Wciąż jeszcze jesteś reprezentacyjnym rozgrywającym.

– Żałuję, że w ogóle kiedyś dotknąłem piłki.

– W tym mieście byłeś na to skazany. Rake nas dopadł w szóstej klasie i wciągnął do gry. Były cztery drużyny, pamiętasz? Czerwoni, niebiescy, złoci i czarni. Nie było zielonych, bo inaczej wszyscy chcieliby mieć zielone stroje. Grywaliśmy we wtorki wieczorem i przyciągaliśmy więcej widzów niż większość liceów. Trenowaliśmy te same zagrania, jakie Rake zarządzał na meczach piątkowych. Stosowaliśmy tę samą strategię. Wszyscy marzyli, żeby zagrać w Spartanach przed dziesięcioletnim tłumem fanatyków. Od dziewiątej klasy Rake osobiście prowadził nasze treningi i poznaliśmy wszystkie czterdzieści zagrywek z jego katalogu. Mogliśmy je recytować przez sen.

– Wciąż je jeszcze pamiętam. – Neely się uśmiechnął.

– Ja też. Pamiętam, jak kiedyś przez dwie godziny kazał nam ćwiczyć przekładankę w prawo.

– Bo tobie wciąż się myliły nogi.

– A potem ganiałliśmy tam i z powrotem po Patelni, aż się porzygaliśmy.

– No, taki był Rake. – Neely pokiwał głową.

– Nie możesz się doczekać włożenia trykotu uniwersyteckiego, a przez ten czas stajesz się bohaterem, idolem, cholernym zarozumialcem, bo w tym mieście wszystko ci wolno. Nic, tylko wygrywasz i wygrywasz, jesteś królem w swoim małym świecie, a potem nagle pyk i wszystko znika. Grasz swój ostatni mecz, ludzie płaczą, a ty nie możesz uwierzyć, że już po wszystkim. Na twoje miejsce wbiega nowa drużyna, a o tobie zapominają.

– To było już tak dawno temu.

– Piętnaście lat, kolego. Kiedy przyjeżdżałem z college’u na święta, nigdy tu nie przychodziłem. Unikałem nawet przejeżdżania obok szkoły. I nigdy nie spotkałem Rake’a. Nie miałem ochoty. A potem któregoś wieczoru latem, tuż przed powrotem na uczelnię, jakiś miesiąc przed jego zwolnieniem, coś mnie podkusiło. Kupiłem sześciopak piwa, wszedłem tu na górę i rozegrałem w myślach wszystkie mecze. Przesiedziałem tak parę godzin. Patrzyłem, jak się tam zwijamy, zdobywamy punkty i wypruwamy z siebie żyły. Było cudownie. A potem zrobiło się strasznie, bo wszystko się skończyło. Naszą chwałę diabli wzięli.

– Nienawidziłeś wtedy Rake’a?

- Nie. Wtedy go kochałem.
- Jednego dnia było tak, drugiego inaczej.
- U większości z nas.
- A teraz cię to boli?

– Już nie. Kiedy się ożeniłem, wykupiliśmy karnet na cały sezon i zapisaliśmy się do klubu kibica, tak jak wszyscy. Normalka. Z czasem zapomniałem o byciu bohaterem i zamieniłem się w zwykłego kibica.

- Chodzisz na wszystkie mecze?

Paul wyciągnął rękę w lewo.

- Jasne. Do banku należy cały ten sektor.
- Twojej rodzinie potrzebny jest cały sektor?
- Mona jest bardzo płodna.
- Najwidoczniej. Jak wygląda?
- Jak kobieta w ciąży.
- Pytam, no wiesz, czy jest w formie?
- Czyli innymi słowy, czy się roztyła, tak?
- No właśnie.

– Nie, nie roztyła się. Ćwiczy codziennie po dwie godziny i odżywia się samą sałatą. Wygląda świetnie i zaprasza cię dziś na kolację.

- Na sałatę?

– Na wszystko, co zechcesz. Mogę do niej zadzwonić i potwierdzić?

- Jeszcze nie. Najpierw pogadajmy.

Zamilkli i przez dłuższą chwilę się nie odzywali. W milczeniu przyglądali się, jak pod bramę podejżdża pick-up i z szoferki wysiada masywnie zbudowany mężczyzna w

wyblakłych džinsach i džinsowej czapeczce na głowie. Przybysz miał gęsty zarost i wyraźnie utykał. Wszedł na stadion, obszedł pole punktowe i ruszył bieżnią wzdłuż boiska. Dotarł do Patelni, spojrzał w górę, dostrzegając Neely’ego i Curry’ego, którzy nie spuszczaali z niego oka. Skinął im głową, wszedł na Patelnię i usiadłszy w jednym z dolnych rzędów, znieruchomiał, wpatrzony w płytę boiska.

– To Orley Short – powiedział Paul, któremu wreszcie udało się skojarzyć twarz z nazwiskiem. – Końcówka lat siedemdziesiątych.

– Pamiętam go. – Neely kiwnął głową. – Najwolniejszy linebacker w historii.

– I najostrzejszy. Dotarł do reprezentacji konferencji. Grał rok w drużynie studium pomaturalnego, po czym zrezygnował i na resztę życia został drwalem.

– Rake uwielbiał takich osiłków, nie?

– Jak my wszyscy. Czterech takich w obronie i mistrzostwo strefy zapewnione.

Pod bramę podjechał następny pick-up i stanął obok pierwszego. Z szoferki wysiadł kolejny zwałisty osiłek w drelichowym kombinezonie, podszedł do Patelni, przywitał się z Orleyem Shortem i usiadł obok. Z ich zachowania wynikało, że nie byli umówieni.

– Nie mogę go umiejscowić w czasie – mruknął Paul, poirytowany tym, że sobie go nie przypomina.

W ciągu trzydziestu kilku lat przez ręce Rake’a przeszły setki chłopców z Messyny i całego okręgu, a większość z

nich nigdy się stąd nie ruszyła. Wszyscy zawodnicy Rake'a wzajemnie się znali. Należeli do jednego bractwa, którego listę członków raz na zawsze zamknięto.

– Powinieneś częściej tu wpadać – rzekł Paul, bo wypadało coś powiedzieć.

– Dlaczego?

– Ludzie chętnie by cię zobaczyli.

– Może ja nie chcę widzieć ich.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Myślisz, że ludzie wciąż mają do ciebie żal, że nie zdobyłeś Heismana?*

– Nie.

– Na pewno cię pamiętają, ale należysz już do historii. Wciąż jesteś dla nich reprezentantem kraju, ale sprzed wielu lat. Jak zajrzysz do Renfrow's Café, to zobaczysz, że Maggie wciąż ma nad kasą twoje ogromne zdjęcie. Bywam tam co czwartek na śniadaniu i rozmowa niemal zawsze zamienia się w dyskusję, kto w historii futbolu w Messinie był najlepszym rozgrywającym: Neely Crenshaw czy Wally Webb. Webb był gwiazdą przez cztery lata, odniósł czterdzieści sześć zwycięstw z rzędu, nigdy nie przegrał i tak dalej, i tak dalej. Za to Crenshaw grywał przeciwko czarnym, a gra z nimi była szybsza i ostrzejsza.

* Nagroda Heismana (*Heisman Trophy*) – najważniejsza doroczna nagroda, przyznawana od roku 1935 w drodze głosowania najwybitniejszemu zawodnikowi w rozgrywkach amerykańskich uczelni wyższych.

Crenshaw dostał się do drużyny Tech, a Webb nie dorósł do dużej gry. I tak bez końca. Oni wciąż cię kochają, Neely.

- Dzięki, ale nie skorzystam.
- Jak sobie chcesz.
- To się działo w innym życiu.
- Daj spokój, wyluzuj. Ciesz się wspomnieniami.
- Nie mogę. Bo jest w nich Rake.
- To po co tu przyjechałeś?
- Sam nie wiem.

Gdzieś w czeluściach eleganckiego garnituru Paula zabrzączał telefon. Wyłuskał go i rzucił: „Curry”.

Chwilę słuchał, po czym powiedział:

- Tak, jest tu obok. Przysięgam. Dobra.

Zatrzasnął klapkę i schował telefon do kieszeni.

– To Silos – wyjaśnił. – Mówiłem mu, że być może przyjedziesz.

Neely uśmiechnął się i pokręcił głową na myśl o Silosie Mooneyu.

- Nie widziałem go od matury.
- Tyle że on jej nie zdał, jeśli dobrze pamiętasz.
- A tak, zapomniałem.
- Miał drobne kłopoty z policją. Zabronione substancje czwartej kategorii. Ojciec wyrzucił go z domu miesiąc przed maturą.
- Tak, teraz sobie przypominam.
- Przez kilka tygodni mieszkał w piwnicy u Rake’a, potem wstąpił do wojska.
- I co teraz robi?